



Od tygodnika



NUMER 7 (116)

KATOWICE — WROCLAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 15 LUTEGO 1948 ROKU

ROK IV

HENRYK WORCELL

Przerabianie kompostu

Od kilku dni Opaliński notował sobie w terminarzu ważniejsze wydarzenia i prace gospodarskie.

30 marca: sianie owsa na dużym i małym polu.

31 marca: bronowanie owsa i łąki.

1 kwietnia: wycieczka Niemców. Stanie jęczmienia na dużym i małym polu.

2 kwietnia: bronowanie jęczmienia. Rita stanowiąca po raz drugi. Erna zachorowała.

Trzeciego kwietnia prace polne na Pustkowie zostały przerwane. Wczesno Paul oznajmił Opalińskiemu, że Ernie się pogorszyło, więc musi jechać po lekarza. Może to nie groźnego, może zwykłe przeziębienie, ale skoro on, Erna i dziecko mają pojutrze wyruszyć z transportem, to lepiej, żeby żona była zdrowa.

— Oczywiście — chętnie zgodził się Opaliński — niech pan zaprzęga kobyłę i jak najprędzej jedzie — i nie czekając aż Paul opuści pokój, wrzucił się do żony: — coś mi się zdaje, że oni z tą chorobą kręca.

— Właśnie — przytaknęła Genowefa — akurat teraz zachorowała.

Stefan ruchliwy, niespokojny, chodził po mieszkaniu, otwierał okna i szukał czegoś po kieszeniach.

— Ja nawet nie będę czekał na śniadanie, pójdę zaraz — mówiąc to wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją. — Mam dzisiaj Rogówkę przylatnować... Karger, Montag, Kintscherowa... Aha, wiesz, co Kintscherowa powiedziała? Ze spali dom Jankowskiego.

Podszedł do stołu, na którym leżały resztki wczorajszej kolacji i wziął kromkę chleba z wędliną.

— Może ja pójdę dziś z tobą — rzekła Genowefa — chciałybyś też zobaczyć, jak tam to wszystko się odbywa.

— Dobrze Gieniu, ale lepiej przyjdź później, bo zanim oni się zbiorą... Wyjeżdżają dopiero koło dziewiątej. Aha... otworzył drzwi i zawołał: — Jędrę! — po czym z ustami pełnymi jedzenia znów pochylił się nad kartką.

— Jaka szkoda, że nie mamy więcej marek! Można by za bezcen kupić od Niemców tysiące rzeczy... skrzypce się trafiają, koce wełniane, materiały na ubranie... Ruryk sprzączak, najwięcej wykupuje...

— Wszedł Kleta i powiedział „dzień dobry”.

— Jędrę, musimy ich wykorzystać, póki nie wyjadą. Paskudna robota z ustępem. Maria i Lucyna będą wywoziły z ustępu na kompost, a ty już sam musisz kompost przerabiać. Trudno, ja muszę iść do wsi... Gieniu, idź już. Ty masz czas, zjedź śniadanie i przyjdź za godzinę pod świetlicę. Jędrę, chodź na dół.

W oborze znalazł Marię i Lucynę i pokrótce objaśnił im, co mają robić. Obie spojrzyły na siebie i uśmiechnęły się krzywo, co Stefana zgniawiało.

— A ktoż to u was zawsze ustęp czyści? Przecież zeszłej jesieni widać było, żeście to robiły. Zaczęłyście jak najwcześniej, żeby dzisiaj skończyć.

Co do Klety, to ten wiedział jak trzeba kompost przerabiać, bo robił to u siebie w Bobrowcu. W ogóle szwagier znał się na wszelkich robotach gospodarskich, specjalistą nie był, ale wszystkiego umiał po trochu.

W chwilę później Paul wyjechał bryczką z podwórza i klusem ruszył polną drogą na łąki.

Wkrótce ukazał się na grzbiecie góry oddzielającej wieś od Pustkowie, bryczka i koń odbiły się sylwetką na tle nieba i nagle zniknęły za górą. Potem wokoło Pustkowie przez dłuższy czas nie się nie działo. A raczej tak — działały się rzeczy trudne do zauważenia dla ludzi żyjących na Pustkowie podczas tych pamiętnych dni. Bo cóż ich w tej chwili obchodziły pierwiosniki, które już rozkwitły w dole, na Mitrogowej łące, a pączkowały dopiero w górze, na łące porucznika Stopki? Zrywał je tylko mały Kazio, który wzdłuż strumyka cienkiego jak rzeka na zielonej mapie zachodził aż do leżącego w dole lasu, gdzie przyroda urządziła już wiosenną wystawę frezdy, bazi, różę i pączków oblepionych syropem.

Stońce kolosalnym wysiłkiem dźwigało się spod ziemi i rozbite na dziesiąt gwiazd świećko poprzez szpaler świerków na szczyt góry — a gdzieś bliżej, nad lasem, dwa myślowy krząły

dlugo, uparcie, jak samoloty wy-patrujące partyzantów.

O godzinie ósmej Maria i Lucyna wyciągnęły z szopy tacki i czerpaki i wyprostowane, pełne majestatu i urażonej dumy poszły za dom, gdzie muirowana przybudówka tworzyła coś w rodzaju tyłka wypiętego na pole.

Wkrótce po nich z domu wyleciał Kazio i sfrunął na swój wózek, u którego zdołał już wylać kilka szczebli w leterkach i por-przezce od dysza. Wreszcie wyszedł Kleta z łopatą na ramieniu, a równocześnie na wzdórzu ukazał się wóz zaprzężony w wolu i konia; to młody Stopka, brat porucznika, jechał orać bezużyteczną, zaniedbaną przez Adlera łąkę, by zasiać na niej owoce. Zobaczywszy go przez okno Genowefa, która wybierała się już do wsi, zeszła na dół i stanęła po środku drogi.

— Prrr... — wstrzymał zwierzęta Józef i uchylił czapki, uśmiechając się szeroko gębą.

— Dzień dobry! — odpowiedziała mu Genowefa — co tam u was słychać, co Baśka robi?

— A sprząta cały dom. Nasze szkopy wczoraj wjechały, balagan taki, że nie ma gdzie stanąć, wołę w polu robić.

— A płakali bardzo, jak wyjeżdżali?

— I... oni by płakali! Brat tak na hecę pocieszał ich, żeby się nie martwili, bo i tak tu wnet wróca, a stary Adler na to: „jo ich glaube”. Szkoda, że nam nie porobili wszystkiego w polu — ja im musiałem trzy lata przy maszynach i koniach robić.

— Gdzie?

— A w Wildsruf koło Drezna.

— Prawda, pan był razem z Baśką, opowiada mi. Ach, Boże, jak sobie o tym pomyśle... — Genowefa niewidczymi oczami spojrzała gdzieś w górę ku lasom.

— Gdzie się to wszystko podziało... I tu Niemcy i tam Niemcy, a świat taki zupełnie inny. Tu mi się zdaje, że słońce inaczej świeci i ten dym z kominą taki jakis swój... nie boję się go. A im, to jakby kto pazury poobcinał. Czy oni są naprawdę inni, lepsi?

— Kto? — zapytał chłopak nie bardzo rozumiejąc, o czym Opalińska mówi.

— No, ci Niemcy w waszej wsi. Może oni lepsi od tamtych wszystkich, których znam?

— E, lepsi... Albo to wilk jeden może być lepszy, a drugi gorszy? Chyba dlatego, że ten cie zje z kośćcami, a tamten bez kości. Ja pań mówię, że nie ma dobrego Niemca. Jak się trafi dobry dla mnie, to będzie zły dla tysiąca innych. Tfu! diabły, nie ludzie. Jacy tam te bandy spędziły w jedno miejsce i ogrodziły wysokim murem — jakby im brakło Lebensraumu, widziałyby pani, sami by się pożarli.

— Ha ha ha... — zaniósł się śmiechem Opaliński a pan by tylko zaglądał przez mur i drażnił ich pogrzebaczem, prawdą?

— Pewnie, że tak... A wasze szkopy kiedy jada? — zapytał wskazując na Marię pchającą taczki pełne nawozu.

— Mieli jechać jutro, ale jedna zachorowała i Paul pojechał po lekarza.

— No... — Stopka ściągnął lejce — pojadę już. Chciałbym dziś skończyć ten kawalek w górze. Wio, Morye — uderzył batem w wózek.

— Jak on się nazywa? — zapytała jeszcze Opalińska.

— Morye.

— To śmieszne... Oni wszystkim bydlętom dają ludzkie imiona: Maks, Greta, Rita...

— Właśnie! — zdołał jeszcze od-krzyknąć Józef. — Za to szkopom trzeba by dać: „Kary”, „Krasula”, „Latocha”!

Genowefa skierowała się ku Andrzejowi, który przerzucił kompost z jednej kupy na drugą, przykrywając rozlewany przez Lucynę nawóz.

— Fui! — skrzywiła się i zaśmiała równocześnie.

— Aha... — powiedział Kleta opierając się na łopacie — wania-je, germański wozduch... Jak widać, to szwagierka delikatna.

— Oo, nie tak bardzo znowu, mój ojciec nieraz to robił i ja byłem przy tym. A w szkole gospodar-ckiej też widziałam... A co Tekla robi, bo nawet nie byłam u niej.

— Eee... — skrzywił swą zmie-toszoną twarz — ona się dzisiaj jakos źle czuje.

— Nic już więcej z sobą nie mó-wili. Kleta zabrał się do przerzu-cania ziemi, a Genowefa ruszyła ścieżką poprzez sad i łąkę w kie-



Wrastamy w Ziemię Odzyskane wszystkimi korzeniami. To już nasz horyzont i nasze niebo.

Fot. Jan Buhak

runku wsi. Nie zwróciła szczególnej uwagi na jednokonną wóz, który wynurzył się zza góry i dro-gę Molendy zjeżdżał powoli w do-łinę Pustkowie. To Klaus jechał bronić rolę przeznaczoną pod jęczmień i owoce. Klapperowie szykowali się do jutrzejszego wy-jazdu, Molenda pracował w Ko-misji Wyszędleńczej, więc Klaus musiał jechać w pole, bo robota była pilna. Nie wiodło mu się w życiu. Trzy lata harował u Niem-cia i tyle z tego ma, co na grzbie-cie, a teraz gospodarstwo przecho-dzi na własność sierżanta. Licho wie czemu się nie przepisał na folksdojca. Ze swym nazwiskiem „Kist” mógł być łatwo to zrobić i teraz wyjechałby razem z Klappe-rami i Gretą do Niemiec. A Greta zła. Dawniej, gdy ją chwytali za pośladki nie broniła mu bezce-łowo, dzisiaj warknęła „weg!” Jadać w pole po stokroc przeważy ją „hur-da” i „szlompą”, ale to mu nie sprawiło ulgi — miał ochotę ze-skoczyć z wozu i palcami drapać ziemię.

Wjechał na hektarową działkę, leżącą naprzeciw domu Hattwi-gów i zrzucił bronę z wozu. Z o-brzydzeniem zabierał się do ro-boty. Nigdy nie pracował chętnie, ale dziś to już zupełnie stracił ochotę — z równą niechęcią za-bierałby się do bronowania są-siedniego, Hattwigowego pola. Spinając bronę stękał i kłął pod nosem — zadek jego opięty cia-snymi portkami przeżył się jak muskulus wypalonego psa. Koń szarpnięty lejcami cofnął się gwałtownie i przestąpił postronkiem.

— Fuss! Fuss! — krzyknął Klaus uderzając go biczyskiem po no-dzie.

Koń wprawdzie nogę podnosił, ale postronka nie przestąpił, więc Klaus osłepił z wściekłości, mio-tając przekleństwa kopiał butem w pęcinę i kopyto dopokąd noga końska zupełnie przypadkowym uskokiem nie znalazła się po dru-giej stronie postronka.

— Ho, ho! Klaus! — rozległ się głos Marii pod domem Hattwi-gów — bist du verrückt?

— Leck mich am Arsch! — od-warknął Klaus i chwycił za lejce. Chciał jak najprędzej skończyć bronowanie i wrócić do domu. Uh, Greta... — palce mu się kurczowo zaciskały, uda przeżyły — stłamsi ją, przysidi gdzieś w sąsięku, aż kości zatrzęsą.

A w górze, po drugiej stronie domu, młody Stopka orząc łąkę

powoli, dokładnie odwał skibe za skibą. Czepigi musiał trzymać mocno, bo lemieś wyslizgiwał się z kamienistej gleby. Gdy do-jeżdżał do przeciwnego skraju łą-ki, tam gdzie las rzuca chłodny cień, ogładał się wstecz i cieszył się, że już osiem razy obrócił. A gdy dojeżdżał do przeciwnego skraju łąki, tam gdzie waska droga oddziela ją od ziemi Opaliń-skiego, to również się ogładał i cieszył, że już dziewięć razy obró-cił. Doprawdy, to było niezwykle interesujące, nie mógł się dosyć napatrzeć, jak za każdym obrotem dwadzieścia centymetrów łą-ki zamienia się w wilgotną rolę.

Tymczasem Kleta przerzucając Hustą ziemię kompostową, czynił to z monotonią człowieka przeko-nanego, że wszelki pośpiech jest bezcelowy, bo robota nigdy się nie kończy i tylko godziny posił-ków i nocnego wypoczynku kładą jej kres. Dobrze że przyszła do niego Tekla, bo może trochę zi-ęci wyprostować.

— Wstałaś?

— Wstałam... Oboje zwrócili spojrzenie na kury grzebiące w rozkopanej zie-mi i patrzyli długo, długo. Kury są wszędzie jednakowe i w Bo-browcu tak samo śmieśnie grze-bały jak tu.

— Gdzie Kazez? — zapytała wreszcie Tekla.

— A nie wiem, gdzieś z wóz-kiem pojechał.

— Bój się Boga, żeby mu się co złego nie stało.

— I... — skrzywił się Andrzej — co by mu się stało...

Cofnęli się w cień, poza ogro-dzenie, by zrobić przejście Niem-cie pchającej tacki — jakaś kura-tydotka narobiła wrzasku, a za nią wszystkie rozprzeczły się w popłochu. Tekla wsunęła ręce pod fartuch maskując wypukłość brzucha.

— Co on ci wczoraj mówił? Andrzej oparł się wygodnie na łopacie i westchnął, jak gdyby miał zamiar rozgadać się na dobre.

— Ano mówił, że jak ci wyjadą — wskazał oczami na Niemki — to wszystko co się z gospodarstwa sprzeda, masło, jajka, wszystko będzie dzielil pół na pół z nami.

— To jak dostaniesz pieniądze, trzeba co kupić i postać do domu, niech tam leży. Bo niechby się tak na złe obróciło... A wiesz... — tu zniżyla głos do szeptu — co tam

(Dokończenie na stronie 2)

JAN KAZIMIERZ ZAREMBA

Jaksa z Kopieniaku

myśleć. Oni sami bronili się je-szcze, jak samotny ostrów na rze-ce opiera się burzy i powodzi. Al-brechta znał Jaksa z dawna, kie-dy na dworze cesarskim był za-kladnikiem. Wiedział jaki był i jaki los gotuje Słowianom.

Ciężko było wytrwać przez ten tydzień, ale dopiero ósmego dnia zwałilo się na Jakse całe piekło. Od rana do wieczora dwanaście razy pchała się holota na niskie mury gródka, a Jaksa ze swoją gromadą spychał ją z powrotem. Pod zachód słońca, gdy napór zwolnił i woje spoczęły, przy-biegł do Jaksy pacholik jego, Ze-lech, z wieścią, że z lasów dud-nienie okrutnie słychać. Kiedy wybiegł na wieżę, już długi wąż jazy wychyłił się z boru. Bly-szczał w słońcu, które odbijało się w hełmach i naramiennikach jadących. Czaplali po bagnistej drodze.

— Niedźwiedź sam jedzie — o tam — pokazał Jakse starszy nad wojami Stanisł, który od chwili siedział na wieży i patrzył na jazydę jak na widawisko.

Młoda ale sterna twarz Jaksy zaszła chmurą, kiedy zobaczył Niemca. Wargi mu zdrząły.

— Wiozą ze sobą dwa wielkie tarany, żelazem okute — widzi-cie księżę?

— Dobrze się ma, odburknął, patrząc na dziwnie ogromne ciel-sko Albrechta. Grabież naLutych-kach dobrze mu się opłaciła. Ze też nie utoczyli mu trochę tej świńskiej juchy!

Patrzył tak przez czas pewien, a tymczasem jazda weszła do obo-zowiska i zaraz zaczął się w nim ruch nadzwyczajny.

Namioty stawiają — zauważył Zelech.

Pacholki w kupy się garną, rychło znowu na wały polezą.

— Hej Stanisł, ludzi zbierz i na bramę zawołaj Jaksa, widzę że Niemcy dzielą się na gromady i do murów zbliżają... Kłody umocnić!

Ruszyli wszyscy z wieży, Stan-isz wołał na procarzy, ale ci już wychodzili, naciągnano kusze. Od pola zaczęły dochodzić krzyki pędzonych do szturmu. Jaksa zaka-zując swoim strzelaczom, dopóki się na-pastnicy nie zbliżą. Dopiero kie-dy gromady chłopów i łuczniczy, niosących na plecach tarce po-deszły bliżej, swinęły strzały obłożonych. Zelech szył z łuku raz po raz, a ze strzelcem był wyborowym, rzadko chybiał i za każdym razem Niemiec trafiony ręce rozkładał i walił się na zie-mię. Ale i łucznicy niemieccy zar-częli odpowiadać, a gromy ich stukaty i bzykały po ścianach mu-rów i wieży, i opadały z powrotem. Pod ich przykryciem posu-wali się Niemcy.

— Weźcie ludzi Stanisł, i stań-cie z nimi na lewym murze, roz-kazywał Jaksa. Sam stanął z dru-gą gromadą wojów nad bramą, ku której Niemcy największą grom-ada zmierzali.

Nieśli oni tarany i drabiny szturmowe. Pacholkiwie idący w przód założyli rów wiązkiami trzciny zanim niosący sprzęt do-szli do niego, po czym cała grom-ada zastanawiając się tarcami od straż, które na nią gęsto sypano, zaczęła biec ku bramie.

Gdy doszli, zaczęli kuć w nią szybko i składnie aż jęczały i dy-gotały zawory, a cała brama trzę-siła się w posadach.

— Wrzatek dawajcie, prędzej! wołał Jaksa.

Szybko wyciągano do góry narządzone już stągwie i kadzce. Za-toczyli je na brzeg muru i na-chylili. War lunął na dół. Zako-towało się tam, ale tylko na chwilę. Kiedy ludzie spojrzeli przez otwory, aby zobaczyć, co przed bramą się dzieje, dwóch z nich nie podniosło się więcej. Le-zeli martwi, z twarzami przyłe-gnymi do wyzierek. A tamci wa-lili znowu, krótkimi wściekłymi uderzeniami wstrząsając bramą.

Nie było czasu do stracenia. Nad bramą było dużo głazów, przy-gotowanych na tę chwilę. Chwy-cili się ich ludzie i z woła na za-częli je spychać. Runęły na tły nie-mieckie, aż powietrze zawirowa-ło od skier, odłamków i okrop-nych ryków zmiażdżonych. Jaksa wzięł się pod boki i zaśmiał. Na dole wili się w boleściach Niem-cy a reszta uciekała spod bramy.

— Ale w tej samej chwili zar-zbrniały wrzaski na murze, gdzie-stał Stanisł ze swoją drużyną. Wielka zgraja Niemców wdziera-ła się na mur. Woje rabali im dra-biny i spychali w dół, do rowów, aż woda bryzała wokół, ale wszystkich przemóds nie mo-

gli. Coraz więcej wlażyło ich na mur, ci co już na nim stane-łi, czynili sobie miejsce wolne długimi dragami, a inni wcią-gali towarzyszy. Kiedy Jaksa z kilkoma lepiej zbrojnymi dosko-czyli do nich, biłaj już za późno. Stanisł zmagając się z jakimś wiel-kim Niemcem, który za pas go uchwycił i ciągnął. Zanim Jaksa do niego dotarł, runęli obaj z mu-ru. Z wściekłością chwycił wtedy dwóch innych, którzy mu drogę zastąpili i cisnął ich na dół, że stoczyli się, bijąc łbami o dra-biny, po których wzięli, ale Niem-cy całą gromadą rzucili się na niego.

— Odstąpcie panie bo wszyscy tu zginiemy, wołał Zelech. usu-lując go wytrwać z rąk Niemców, ale Jaksa ledwo go dostyszał, bo obu ich przykryła ruchoma góra napastników.

W teże chwili pod ciosami to-porów pektła brama na dole i zwa-liła się parta dziesiątkami ramion na dziedziniec. Wlewała się przez nią cizba zbrojnych knechtów. Walka zamieniła się w rzeź. Po wałach i zabudowaniach zdoby-tego gródka zaczęły się dzikie go-nitwy i mordowanie obrońców.

Z bity i pokrawiony Jaksa le-żał w namocie Albrechta, do-kąd przyniesiono go prosto z placu boju. Skrepowano mu ręce i nogi, tak, że ruszyć się nie mógł. Leżał tak, sam nie wiedział jak długo. Nie był już żyły, bo przez szpary w namocie widział gwia-zy. Czasem z wielkimi wycień-czenia nawiedzały go majaki. W północy, który go dręczył, zdawało mu się, że jest znowu w swym grórze i rozma-wia ze Stanisłem. Tętna wa-łiły mu w skroniach, więc wołał, że w bramę kują i ludzi na wy-cieczkę zwoływali. Potem znowu oprzytomniał leżał i patrzył w gwiazdy. Ocknął się dopiero zu-pełnie, kiedy posłyszał kroki i brzęk ostróg. Zdział mu wiezy i pozwolono usiąść na ławie. Usiadł więc ciężko i pił podany mu napój. Potem pacholek od-szedł a Jaksa odwrócił minowoli głowę, czując że ktoś na niego pa-trzy. W głębi namiotu stał Al-brech, nogi szeroko rozstawił, podcierał się oburącz na mieczu, siedział się na obie strony, z o-cieżką cielska istotnie bardziej do niedźwiedzia niż do człowieka podobny.

Głos miał niski, gardłowy, gdy rzekł:

— Opłaciło się Wam Jakso z poganami trzymać przeciw cesar-zrowi!

— Jeśli z poganami wojujecie — jęknął jeniec — czemu Kopie-niak i Bralin palicie? Nie poga-ni tam przeciw siedzą.

— Wszyscy, którzy przeciw nam rękę podnoszą, widacie, że poga-ni są. Ale ja to Jakso do ciebie nie zlem, ale z tobą do dobrego chodzę, choć widział, że mogę z tobą zrobić co zechcę. Spróbujcie cie ocalić, ale i ty mi pomożesz. Połącz się z nami. My dzielnych ludzi, jak ty, potrzebujemy. Wi-dzisz jasno, że przeciwko nam nie wstawie, łaskawie na cie spojrz.

Syn Nriklota obrotczykiego upoko-ryzył się, i tą pokorą życie i księ-stwo ocalił.

— Jakso odparowało.

— Syn Nriklota zdradził hanieb nie własnego ojca i swój lud. A ja nie chcę mu równym być!

— Cześć się zabić?

— Wolę nie żyć, niż z wami na swoich uderzać.

— Głupi ten, co wybiera śmierć, albo torbę zebraczą, mogąc na swoim zostać.

Słyszcie księżę, rzekł Jaksa po-woli, ważąc każde słowo i jakby zwarte w bryłę ciskając przed Niemca. Gród mi spaliłście, mnie samego wiezić a nawet i zabić możecie. To jedno wieźcie: nie będzie Jaksa zdracą. Co innego wam rzekę. Jeśli mnie na rycer-skim słowie wypuścicie każecie, wa-szych, którzy u Scibora w Rylsku, za Odrą siedzą, zaraz odesłać wam każe.

Niemiec poruszył szcękami lecz młczał. Ział mu było swoia-ków, których Jaksa przed rokiem, gdy na wyprawę zbójceją poszli, zastarnał i krewnemu swemu odesłał. Lecz po chwili oczka jego, oblane tuszczem, zabłyśnięły chy-trze spod powiek.

— Jakąż mogę mieć pewność, że umowy dotrzymacie?

Jaksa czuł, że los jego rozstrzy-ga się. Wiedział, że jeśli Albrecht weźmie go ze sobą, nie go ocalić

(Dokończenie na stronie 3)



Rzeka Dziupna

Fot. Jan Buhak



Henryk Worcell, autor znanej swego czasu książki „Zakłete rewiry”...



Jan Kazimierz Zaremba, przed wojną współpracownik jednego na Śląsku pisma literackiego „Fantana”...

Ruch wydawniczy

Jedynym wydawnictwem z terenu Opolszczyzny Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu, wydało w bibliofilskim wykonaniu wierszowane opowieści o świętych Artura Chojackiego p. t. „Owoce Bożego sądu”...

Siedzieć w postawie na baczność, z ciałem sztywno wyprostowanym, z rękami przyciśniętymi do kolan i z oczyma aż do oślepienia wlepionymi w żółtawą ścianę „domowego więzienia” w Petschkowym pałacu — to zaprawdę nie jest pozycja najodpowiedniejsza do myślenia...

Po okresie milczenia spowodowanym podrózą do Ameryki na pierwszą stronę Odrodzenia pojawił się znów Edmund Osmańczyk, a z nim i sprawa niemiecka. Artykuł jego „Jasno i otwarcie o sprawę niemiecką” przypomina najlepsze partie „Sprawy Polaków”...

Artykuł Osmańczyka mówi o rzeczach bardzo zasadniczych na kanwie polemiki z poglądem Ryszarda Matuszewskiego, wyrażonym w artykule „W poszukiwaniu dziesięciu sprawiedliwych”...

Osmańczyk sądzi tego nie podziela. Stawia on tezę następującą: „Europejska polityka w stosunku do dzisiejszych Niemców musi być jednak skierowana przeciwko nim. Skoro Niemcy sami nie chcą się zmienić, trzeba zmusić ich do tej zmiany mimo budzenia przez to wśród Niemców ducha oporu”...

Osmańczyk wierzy w odrodzenie się narodu niemieckiego, ale nie wierzy dzisiejszemu Niemcowi, tak jak nie wierzył mu w r. 1928, 1938 czy 1944. Niemcy dzisiejsi myślą tylko niemieckimi, a nie europejskimi kategoriami, marzą tylko o odbudowie swojej potęgi gospodarczej i politycznej...

spółecznie w duchu narodowym niemieckim, lecz nie nacjonalistycznym. Osmańczyk uważa zatem, że wszystkie środki, które zmierzają do spowodowania zmian w psychice niemieckiej, do nauczenia ich życia w Europie i dla Europy są dobre i winne być stosowane przez mocarstwa okupacyjne.

Znalazło się w artykule Osmańczyka również miejsce na sprawę Łużyc, gdyż i o to zagadnienie porządkował artykuł Matuszewskiego. Autor „Spraw Polaków” jest zwolennikiem niezawisłości narodu lużyckiego w ramach państwowości niemieckiej, jest zdania, że zapewnienie w tych warunkach Łużyc samostanowienia gospodarczego i kulturalnego oraz jego realizacja będą sprawdzianem, jak przebiega redukcja Niemców. Władze okupacyjne radzieckie zezwoliły Łużyczanom na działalność kulturalną, religijną i gospodarczą, ale w życiu politycznym wyznaczyły im miejsce w ramach istniejących partii niemieckich...

Propagowana przez Osmańczyka polityka silnej ręki w stosunku do Niemców to chyba jedyne wyjście. Ale musi to być naprawdę silna ręka. Rozumieć obawy Matuszewskiego. Są to obawy przed siłą konspiracji niemieckiej i stanem wrzenia, jakie istnienie i działalność tej konspiracji będą stwarzać. Nie ludźmi się tylko co do jednego: że przy polityce ustępstw i unikania nacisku z obawy przed wywołaniem oporu, podziemia niemieckiego nie będzie. Nie ulega wątpliwości, że istnieje ono we wszystkich strefach okupacyjnych, łatwiej natomiast jest

Spartakus we Wrocławiu

Wobec szczupłości naszej dramaturgii współczesnej, każda polska prapremiera jest świętem polskiego teatru, świętem tym radośniejszym, gdy na afiszu pojawi się nowe d. do teatru nazwisko. Tym razem w roli „debiutanta” wystąpił poeta i publicysta St. Ryszard Dobrowolski.

Dramat poetycki jest ukoronowaniem twórczości poety. „Spartakus” Dobrowolskiego jaśnieje nie tylko pięknem języka i skojarzeń poetyckich, ale jest zarazem uwypukleniem idei niejednokrotnie poruszanych przez autora w jego pracach publicystycznych. Wódz zbuntowanych przeciw tyranstwu Romy niewolników staje się w dramacie Dobrowolskiego symbolem walki o wolność i ideę, wolności zorganizowanej, rodzącej się w pracy gromadzkiej. Autor przeciwstawia wolność społeczną, wolność, a raczej swobodę anarchizującą, opartą na pobudkach egoistycznych. Przedstawicielom tej idei jest Krixos, wódz zbuntowanych Celtów i Germanów, który widzi wolność w swobodzie grabieży.

Spartakus pragnie wyprowadzić swych towarzyszy za Alpy, do kraju Sycylii, aby tam utworzyć państwo oparte na wspólności nieniczynej, na wzór starożytności, w których gromad. Krixos nie chce się mu podporządkować, woli pozostać w Italii, gdzie bogate miasta mogą jego Celtom i Germanom dostarczyć obfitych łupów. Z konfliktu między obu wódzami rodzi się kłeska, gdyż w rozdzielonych uderzają pod Petalią w Kalabrii legie rzymskie pod dowództwem pretora Marka Krasusa. W bitwie ginie Spartakus wraz z towarzysza-

mi, bunt przeciw przemocy imperializmu rzymskiego zostaje stłumiony. Przez dramat przewija się wątek miłości Spartakusa do jego żony, jasnowłosej Słowianki Wanduo. W nocy przed rozstrzygającą bitwą Wanduo wykrada się z obozu Spartakusa, aby nakłonić Krixosa do wspólnej walki z Rzymem. Spartakus spostrzegł nieobecność żony i bierze ją za uciekającą. Cios ten spada na niego w chwili, gdy dowiaduje się też o kłesce jednego

ze swych towarzyszy i gdy sądzi, że wokół niego szerzy się zdrada i doprowadza do załamania się bohatera dramatu. Spartakus przebiera wierzyc w ideę, o którą walczy. Z depresji wyrwywa go słowa towarzyszy, którzy „zbiegli się zewsząd na jego zawołanie, na dźwięk słowa: wolność”. W imię wolności rusza do ostatniej bitwy i choć ginie, imię jego pozostanie na zawsze symbolem walki o ideę wolności.

„...Wolność nie kona! Wolność jak gwiazda z utwierdzeń strącona — jeśli gdzie zgaśnie — to, by znów po latach gdzieś indziej plonąć pod sklepieniem świata. Wolność jest wieczna...”

mówi Spartakus w wielkim monologu, który jest jednym z najpiękniejszych ustępów dramatu. Na budowie dramatu znać wpływu dramatów Wyspiańskiego, Słowackiego, a szczególnie Szekspira. Mimo pewnej „operowości”, „Spartakus” jest sztuką o dużym wyrazie scenicznym. Znaczną rolę dyskusyjną dla ogółu i filozoficzno-propagandowych tryad nie przeszkadza akcji toczyć się żywo. Sytuacje zmieniają się szybko i są konsekwentnie wyprowadzone, postaci dobrze zarysowane i przekonujące.

Błędy w budowie, nieuniknione w pierwszej próbie scenicznej, rekonstruuje piękno języka i szczerść wypowiedzi wpływająca z wewnętrznego przekonania autora. Tekst „Spartakusa” został dla wrocławskiej sceny nieco zmieniony przez autora i różni się w kilku miejscach od tekstu wydania książkowego, co przyczyniło się do uszczenienia dramatu.

Najciekawszą, pełną psychologicznych nuanсів, postacią Krixosa zobaczyliśmy w wykonaniu Mariana Nowickiego i Jerzego Waldena. Pierwszy z ogromną ekspresją portretował Krixosa jako brutalnego, zardzonego o władzę wodza, drugi wzbogacił ją pewną dozą sadyzmu i podejrzliwością, przy większym diapazone uczuciowym. Obie postaci mieściły się w koncepcji autora, który wyposażył Krixosa o ogromną gamę uczuć.

W roli Wanduo wystąpiła Maria Chodeka przekonywująca w momentach lirycznych, zbyt patetyczna w dramatycznych. Bardzo dobre postacie przyjaciół Spartakusa — zapaścwicze w porwach miłośnym dialogu. Może nieco słabszą pozycją była Sonata h-moll, której brak było wewnętrznej wartości i wyraźnej koncepcji wykonania. Po przerwie usłyszeliśmy Polonez E-dur zagranego dobrze, jędrnie, lecz może o zbyt jednostajnej dynamice. Lepiej byłoby zastosować tu stopniowe a ciągłe narastanie tego środka. Bez zarzutu wykonane były trzy etapy koncertowe, a mianowicie: Langiereza, Leśne Szmyry i Taniec Gnomów. Recital zakończył był Rapsodia XII. W utworze tym wykonawca potrafił wykonać żelazną dyscyplinę rytmiczną w połączeniu z barwnością zmian tempa i modułów rytmicznych, tak charakterystycznych dla muzyki węgierskiej. Resumując — koncert ciekawy, ale dla smakoszy. Melomanom brak było ulubionej Rapsodii II, parafraz pieśniowych i niemiernego Liebestraum...

Muzykę ciekawą i dobrze podkreślającą tekst skomponował Odrzech Łapka. Piękna, stylizowana oprawa sceniczna (b. udane wnętrza namiotu Krixosa) i kostiumy (na szczególną uwagę zasługują proste w linii jednobarwne kostiumy towarzyszy Spartakusa) projektu A. Jędrzejewskiego i W. Langego.

Wojciech Dzieduszycki. *) St. Ryszard Dobrowolski — Spartakus — Dramat. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”. Warszawa 1947. Stron 136.



Od góry: „Chory z urojenia” Mołiera w Teatrze Miejskim „Wyrzeźbienie” w Gdyni. Na zdjęciu R. Staniewicz i A. Jarecka; Ewa Drodowska w roli Anieli w „Stubach Panińskich”...



Jan Kazimierz Zaremba, przed wojną współpracownik jednego na Śląsku pisma literackiego „Fantana”...

Muzyka w Katowicach



Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry”...

Zarówno partia głosowa, jak i orkiestralna traktowane są tu równorzędnie — a niekiedy odnosi się wrażenie, jak gdyby kompozytorowi zależało bardziej na uwypukleniu czynnika orkiestrowego. Piętno nie stanowią specjalnie oryginalnego problemu formalnego i melodycznego. Są raczej nawrotem do techniki francuskiej, z pewnym zabarwieniem „szymanoszczyznym”. Symfonia Kalinnikowa nie należy do utworów zbyt wartościowych. Jest gadatliwa, prymitywna i po prostu... nudna. Zdziwi się, że wybrano na koncert jeden z najlepszych utworów tego zdolnego kompozytora. Stosunkowo najciekawszą i najbardziej zwartą jest część pierwsza. Dalsze części nie wnoszą niczego, a znakomicie mącą początkowo dobre wrażenie kompozycji. Na miejscu kompozytora poprzestaliśmy na „allegro symfonicznym”. Nie należy mówić, jeśli się nie ma nic do powiedzenia — nawet w muzyce...

Ryszard Bukowski

Krótkie spięcia

Obce wyrazy po kilka razy

Rzecz prosta, że używanie cudzoziemskich wyrazów czy nazw w tzw. twórczości publicystycznej-literackiej nie zawsze musi być dowodem snobizmu, lecz po prostu pewnego rodzaju koniecznością, wynikającą z istoty samego dzieła. Chodzi tylko o to, aby te wyrazy czy nazwy bywały używane poprawnie.

Tymczasem jakoś tak się dzieje, że pod tym względem panuje tu i ówdzie u nas dosyć dziwna nonszalancja. Jakoś tak wygląda, że autorom czy tłumaczom jest zupełnie obojętne, jak właściwie dany wyraz, nazwa, czy nazwisko się faktycznie pisze. Ot, po prostu wszystko jedno, i koniec.

Na przykład w nr 1-2 „Kufnicy” w tłumaczeniu wyjątku z artykułu Erenburga, tłumacz (bo trudno chyba przypuścić, żeby to zrobił sam Erenburg) pisze stale nie Reinwald — lecz „Reynwald”, tak jakby chciał upodobnić b. ministra do fabrykanta samochodów Renault. Dalej miejscowość Compiegne jest pisana nie wiadomo dlaczego, jako „Compiegnes”, a minister Moch znowu stale jest prezentowany jako minister Moch. Wreszcie admirał Darlan jest pisany jako „Darland”.

Niby, jak na jeden wyjątek z artykułu, to chyba dosyć dużo, zwłaszcza, że tu chodzi o wyjątek z artykułu, prawdę mówiąc, nie było jakiego.

W „Przekroju” znowu w bardzo zresztą dowcipnych i świetnie napisanych wspomnieniach Jerzego Zaruby autor opisując swoje przygody paryskie zęca się również w dosyć przykry sposób nad ortografią obcojęzyczną.

I tak słynny brukselski „Manneken Piss” został określony jako „manequin pisse”, przez co z rzeźby stałego chłopczyka zrobił się — manekin, też zresztą źle napisany, jako że nie „mannequin”.

Dalej forma „Eh, dis done” jest pisana jako „E, Dis done”, potem „Jardin des Plantes” jako „Jardin de Plantes”, Singapore, jako „Singapoor”, rue Cambon jako „rue Kambon”, zaś rue Cambonne, jako „rue Cambron”. Dalej „Reveillon” jest podany jako „Reveillon”, przy czym wyraz ten tłumaczy Zaruba, że jest to Sylwester, podczas gdy tu chodzi o rzeczynności o wieczór wigilijny. Wreszcie staune bale Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu są określone jako „Balles des Quatres Arts”, z czego by wynikało, że to nie są bale (Bals), lecz — kule (Balles). Cóż zaś mają kule do sztuk pięknych? Inna rzecz, że w tych wspomnieniach nawet poczciwemu apertifitowi „Dubonnet” się oberwało, gdyż zostało mu zrabowane jedno „n” i biedak został na rysunku umieszczony jako „Dubonet”.

Jednym słowem w całym artykule nie ma prawie ani jednego obcego wyrazu, a zwłaszcza francuskiego, który by nie został źle napisany.

Dlaczego...? A bo ja wiem...? Jednym słowem w całym artykule nie ma prawie ani jednego obcego wyrazu, a zwłaszcza francuskiego, który by nie został źle napisany.

W nr 3 „Odrodzenia” w artykule p. Ostafkiewicz p. t. „Ca c'est Bruxelles” naszpikowanym wyrażeniami francuskimi, błędów jest trochę mniej, ale niestety też są. Jest to tym bardziej przykre, że autor ta francuszczyznę trochę czytelnika chce epatować. Zamiast więc rue Royale jest „rue Royal”, zamiast „boites d'amour” (liczba mnogą), jest „boite d'amour”, zamiast „Bruges” jest „Brugges”, i zamiast „Chanson des voleurs” jest „Chanson de voleurs”. Zła korekta? Za dużo mimo wszystko byków, jak na złą korektę.

No i na zakończenie jeszcze „Sypilki”, pismo, jak wiadomo, sypujące ze swego „Gabinetu Osobliwości”. W podpisach pod zagranicznymi dowcipami rysunkowymi spotykamy podanie adresu: „Die Weltwoche” — Brno? oraz „Men Only” — Paryż? „Weltwoche” wychodzi w Bernie szwajcarskim, a nie w Brnie na Morawach, zaś „Men Only” nie w Paryżu, lecz w Ameryce. A poza tym jeśli chodzi o dowcip z „Men Only”, w którym dwóch wlamywanicy pije cudze wino, jest tam podany taki tekst: „Może trochę za suche, prawda?” Otóż, na miłość Boską, nie „za suche”, tylko — za wytrawne! „Dry” w odniesieniu do trunków po angielsku oznacza — wytrawny, nie „suchy”!

Tyle tych przykładów nonszalancji obcojęzycznej, wybranej zresztą nie z prasy codziennej, lecz z tygodników dobrze redagowanych, bardzo poczytnych i zawierających często głos w sprawie wielkiej wagi, i to wielkiej wagi — zagranicznej! Poprawcie się więc Panowie — siłwuple. Niejaki X.

Mała rzecz a dla Katowic wstyd

Jeden z ostatnich numerów tygodnika „Odrodzenie” przyniósł prowizoryczne zestawienie procentowe członków Klubu Literackiego „Odrodzenia” według miast, z których pochodzi. I cóż się okazało: ze wszystkich większych miast Polski Katowice znalazły się w tym zestawieniu na szarym końcu. Na bardzo szarym, bo w mieście tym znalazło się tylko tyłu miłośników dobrej literatury, że tworzą razem 1,5% członków Klubu. Mieszkańcy Szczecina stanowią 2%, Poznań 2,5%, a Wrocławia 4,5%!